№ 22 WARSZAWA, DNIA 31 MAJA 1913 ROKU ROK III

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

Po kilku dniach nadszedł termin, ustanowiony przez rektora na sprawę Agnieszki Kleczewskiej, wdowy i syna jej, Kaspra Bimana, przeciwko żakom: Hieronimowi i Piotrowi, o potłuczenie szkieł i bijatykę w domu.

Stanęły obie strony, zasiadł rektor i dwu doktorów, obok nich za stołem sapienta, najgroźniej wyglądający ze wszystkich.

Kasper i wdowa odziani bogato, sukienno, fałdzisto, ich domownicy liczni, także nie ułamki, wszyscy razem tworzyli poczet okazały.

Z drugiej strony gromada żaków: nędznie to poubierane, wytarte, wyświechtane, ale twarze zuchowate i oczy błyskające, uśmiechy latające od jednych do drugich na znak porozumienia, jakaś dziarskość i wesołość wspólna.

Rektor, wszedłszy odsunął nogą krzesło swoje od stołu, siadł, poprawił swój biret kanciasty, coś zamruczał do jednego z doktorów i przez nos wygłosił zwykłą formułkę, obiecującą sprawiedliwość każdemu. Następnie wezwał skarżących, by powiedzieli, o co im idzie.

— Idzie nam o potłuczone kubki, szklenice, dzbanki i szybki — odpowiedziała strona skarżąca.

— Jak się to stało? — spytał rektor.

— Żak Pietrek skakał koło stołu w izbie i pchnął Kaspra Bimana na szafkę ze szkłem — odpowiedziała strona.

— Kłamie! — krzyknął Pietrek.

— Cicho siedź!—upomniał go sapienta piorunująco.

— Dlaczego żak Pietrek biegał po izbie? — spytał sąd.

— Bo bił się z Kasprem Bimanem.

— Dlaczego bił się z Kasprem Bimanem?

— Bo z niego szydził... Bo zostawił Kaspra, trzymającego wino, żeby nie ciekło, w piwnicy, a sam uciekł na górę i naśmiewał się...

Pietrek mimowoli uśmiechnął się na to przyjemne wspomnienie i krzyknął rozjaśniony:

— Łże, jak pies! Nie szydziłem, nie mówiłem nic!

— Cicho, taceas! — rozkazał sapienta groźnie.

Tak szło dalej przepytywanie.

Hieronima odrazu uwolniono od wszelkiej winy i kazano wdowie zwrócić mu rzeczy jego i pieniądze, które zapłacił za mieszkanie. Z winą Pietrka rzecz się gmatwała. Z jednej strony Pietrkowe opowia-

danie było tak niewinne i wesołe, że sapienta nawet, aby się nie śmiać, musiał się wykrzywiać i gryźć swoje gęsie pióro, którem wpisywał wyroki rektora do księgi. Z drugiej strony sąd podejrzewał, że nie tak to przyjemnie musiało wyglądać w rzeczywistości, więc wypytywał stronę skarżącą. Ale na to Agnieszka wyliczała swoje potłuczone kubki, a Kasper odpowiadał, jak przez rękawiczki jedwabne, wiotko i niepewnie, bo nie chciał się rozwodzić nad swą wadą w mowie.

Koniec końców i Pietrka uwolniono, choć nie tak bez namysłu, jak Hieronima.

Sąd się skończył, sapienta wciągnął wyrok w księgę, wszyscy się rozeszli. Hieronim, odebrawszy swoje rzeczy od wdowy, musiał pomyśleć o znalezieniu nowego mieszkania. Ale tak mu już zbrzydło mieszkanie na mieście, że chętnie poszedł za namową Stacha do bursy, i po krótkiej rozmowie z seniorem Konarzewskim, został tam przyjęty na mieszkanie. Pietrka na razie nie chciano. Senior był mazurem i nie lubił, aby się wyśmiewano z jego rodaków. Ale gdy Hieronim ofiarował się z góry zapłacić za mieszkanie, a miejsce się znalazło, przyjęto i Pietrka.

Bursa Wszystkich Świętych.

Była to jedna z mniejszych i uboższych burs. Na dole były izby szkolne i refektarz. Piętro zajmowały ciasne cele, gdzie spali bursarze, znajdowało się tam też mieszkanie seniora. Kantor, rektor szkoły, zwany Łyskiem, mieszkał na dole.

Wedle wielkości cel, spało w nich po dwu, albo więcej bursarzy. Hieronim dostał się za towarzysza Tomkowi Pacanowicie.

Większość bursarzy żywiła się jedzeniem, wyżebranem na mieście. Hieronim niespodzianie musiał także uciec się do tego sposobu. Sam nie wiedział, jak i kiedy rozszedł się cały jego majątek. Kupił sobie coprawda to i owo, pożyczył temu i owemu, wydał trochę tu, trochę tam, aż został mu tylko jeden dukat. Ten dukat chował troskliwie na dnie niegdyś pełnej sakiewki. Strzegł się pilnie stracić go: chciał mieć coś od wypadku.

Tymczasem potrzeba było jakoś żyć. Wahał się, ociągał, wkońcu kupił garnuszek, taki jak mieli inni żacy, i postanowił ruszyć z nim na miasto.

Gdy wyszedł pierwszy raz, zaraz poczuł, że nie tak to łatwo pójdzie. Żacy znali wybornie wszystkie kuchnie w swojej parafji; która kuchnia była lepsza, przed tą nieraz wybuchały bitwy, chłopcy czubili się i tłukli.

Gdy któryś pchnął Hieronima, ten cisnął garnek i rzucił się na niego. Zbił go porządnie, innych także, którzy wspomagali tamtego. Potem zdyszany podniósł swój garnuszek, i odszedł, nie chcąc mieszać się między tych scholarzów, zawistnych, jak psy nad kością. Gardził nimi, jadłem, mieszczankami miłosiernemi. Szedł na chybił trafił przed siebie, a dusza otrząsała mu się z obrzydzenia i myślał, że gdyby miał skrzydła, to jużby był w zielonym, świeżym lesie sulisławowskim, albo na jasnych łąkach, pełnych rosy, zalanych słońcem. Taka nagła tęsknota, taka nagła potrzeba bycia tam chwyciła go, jakby mu zabrakło tu powietrza, ziemi i słońca.

— Ty?—zawołał nad nim głos znany.— Czemu nie dajesz garnuszka? Pójdźże!

To Bietka rozdzielała jedzenie żakom na progu swego domu. Śmiała się: błysnęły jej usta i oczy w uśmiechu, gdy się nachylała z progu.

Hieronim poznał ją, nie spojrzawszy nawet, spuścił głowę, udał, że nie słyszy. Zawstydził się tak wobec niej tego, że żebrze, jakby Bietka mogła go rozróżnić

wśród żaków. Prawie jej nienawidził w tej chwili. Przeszedł, nie zatrzymując się. Mijał jakieś uliczki. Wreszcie rozejrzał się: był pod murem miejskim. Nieopodal w bocznej ulicy ujrzał wysoki mur klasztorny i kilku żaków przed klasztorną furtą, którym braciszek Bernardyn rozlewał krupnik w garnuszki. Przyszedł niepewny czy dostanie. Braciszek wlał mu resztę, spojrzał.

— Nowyś? — rzekł.

Hieronim skinął głową.

— Módl się za klasztor i za wiarę świętą—rzekł mu braciszek.

— Lepsze to, niż te miejskie domy — pomyślał Hieronim.

Chodził stale przed klasztor. Czasem braciszek, rozdający krupnik, wdawał się w dłuższą rozmowę.

— A tyś skąd? — pytał tego, owego.

Gdy odpowiadali: ze Skierniewic, z Sieradza, z Żelechowa, z Radomia, mruczał:

— O, daleko! daleko!

Ale gdy Hieronim mu powiedział, że jest z pod Opatowa, braciszkowi zaśmiały się oczy:

— A ja ze Szkalmierza!—zawołał.—Tyś nowy, niedawnoś tu przyszedł... czy na Szkalmierz szedłeś?

— Minęliśmy Szkalmierz, zda mi się— rzekł Hieronim.—Z Działoszyc jakoś prostośmy wyjechali na Proszowice.

— Działoszyce! — zawołał braciszek — znam! znam! A urodzaje tam jakie? A droga jaka? Pomorku, na psa urok, na bydło nie było?

Hieronim odpowiadał, jak się dało. Braciszek go nie słuchał, nie zważał, patrzył na niego, jakby w nim coś jeszcze było ze szkalmierskich łąk i pagórków, uśmiechając się do tego, co widział w dalekości pamięcią. Potem odchodził i zamykając furtę, wzdychał:

— O ty, świecie, świecie!

Kiedyindziej był rozgorzały.

— Królestwo antychrysta nadchodzi!— mówił.—Znaki gniewu Pańskiego się ukazują: czartowskie, heretyckie księgi sprowadzają, czytają, i w kościele bożym zamieszanie piekielne chcą wzniecić. Dbajcie o swą duszę, nie czytajcie ksiąg przeklętych, które za poradą piekła pisze doktór Luterus w Niemczech. Przynieście nam, jeśli wpadną w wasze ręce. Chrześcijanin dobry musi być jako żołnierz do walki gotowy pod komendą Pana Boga, jako jest powiedziane:

Słuchaj tego wszelka głowo,
Napisz to w swem sercu słowo,
Pełnij Boże przykazanie,
Byś nie wszedł w piekielne łkanie.

— Będzie tam płacz i zgrzytanie zębów wieczyste. Ale wy brońcie kościoła bożego!

Żacy słuchali strwożeni i nic nie rozumiejąc, ale pełni gorliwości.

Po skończonych lekcjach, które trwały od 10-ej rano aż do wieczora, zaczynało się istne piekło w bursie. Każdy chciał wytrząsnąć, wykrzyczeć z siebie nadmiar żywości i siły, nagromadzony przez cały czas, gdy magistrowie trzymali swych uczniów na uwięzi, jak w kleszczach. Zaczynały się gonitwy po kurytarzach, bitwy w izbach. Tumany kurzu porywały się zewsząd, wapno sypało się ze ścian. Uszy omało nie pękały od wrzasku.

Senior Konarzewski był cierpliwy i przyzwyczajony do takiego biegu rzeczy. Od małego żaczka wzrósł w bursie i nigdy jej nie opuszczał. Krzyczał, by zaprzestano bójek, upędzania się, ale robił to machinalnie, myśląc o czem innem.

(D. c. n.).



Zwiędłe kwiaty.

Dzień Ś-go Stanisława zajaśniał całem bogactwem wiosny, złocąc wieże kościołów i ulice miasta najczystszym blaskiem wiosennego słońca i radując serca snujących się tłumów ludzi.

Na szafirowem sklepieniu, jak białe powiewne duchy, snuły się mgliste obłoczki, przysłaniające tu i owdzie błękit nieba. W powietrzu panowała głęboka cisza, najlżejszy wietrzyk nie poruszał liści drzew, niezwarzonych jeszcze letnim skwarem.

Korzystając z pogodnego dnia, całe miasto wyległo na świat Boży, aby się cieszyć jego powabami i każdy na swój sposób radował się z uroczej, pełnej skarbów wiosny.

Między spieszącemi tu i owdzie ludźmi, przeciskała się jakaś siwa, zgarbiona staruszka, trzymająca w pomarszczonych dłoniach pęk konwalji i narcyzów. Szła drobnym, żwawym krokiem i rozglądała się wokoło, jakgdyby szukając swobodnego miejsca, gdzieby mogła przystanąć i ułożyć rozluźnioną wiązankę kwiatów. Weszła wreszcie do jakiejś bramy i oparłszy się o ścianę, zaczęła spracowanemi rękami układać skromny bukiecik, uśmiechając się do swych myśli, które musiały być zacne i poczciwe, bo twarz jej opromienił wyraz ciepłego uczucia, który najpospolitsze rysy czyni pociągającemi.

Siwa głowa staruszki pochylała się nizko nad wiązanką śnieżnych kwiatów, a przygasłe jej oczy i blade usta śmiały się uśmiechem, w którym jaśniała dziecinna radość duszy prostaczej, zdolnej kochać wiernie i czuć głęboko.

— To będzie rada moja Stachna, Stasia — powtarzała i układając kwiaty na różne sposoby spieszczała to imię, z którem łączyło ją widocznie, jakieś drogie sercu wspomnienie.

Co za szczęśliwy dzień! dziś nareszcie nastała ta upragniona chwila, która od lat tylu była jej jedyną nadzieją, najwyższem marzeniem. Dziś miała zobaczyć swoją Stachnę, ukochaną panienkę, którą wypiastowała od kolebki i ukochała całą siłą swej prostaczej duszy. Teraz Stachna, to już nie drobna dziecina z przed lat dwunastu to już dorosła panienka, zewnętrznie bardzo zapewne zmieniona, ale z sercem zawsze tem samem. O tem staruszka nie wątpi ani na chwilę, rozważając w myśli, że swoje kochanie powita kwiatami, któremi radaby usłać całą drogę jej życia.

Pod wpływem tej nadziei, pomarszczona jej twarz rozpromieniała jeszcze bardziej, przygasłe źrenice wlepiała w błękit nieba, lubując się wspomnieniami o tych dobrych czasach, kiedy Stachna, jako zaledwie zaczynające szczebiotać maleństwo, igrała w jej objęciach i przy jej pomocy stawiała swe pierwsze kroki. Ileż to pocałunków oddawały jej wtedy rumiane usteczka dzieciny, jak często pulchne rączęta w najtkliwszych pieszczotach ota-

czały jej szyję! A potem, kiedy Stachna zaczynała już czuć i rozumieć, jak często przybiegała do „Mani” aby się jej zwierzać z każdą troską i radością i otwierać przed nią dziecięce serduszko, przy wiernem, starem sercu szukając dlań pociechy.



... Możeby pan oddał panience odemnie te kwiaty...

Gorące przywiązanie, które w duszy piastunki zbudziło się dla dzieciny, powierzonej jej opiece, wzrastało z biegiem czasu, spotęgowane jeszcze długą rozłąką. Podczas dwunastu lat, spędzonych u krewnych na łaskawym chlebie, stara, samotna kobieta żyła tylko nadzieją zobaczenia swej drogiej pieszczotki.

— Żebym to mogła doczekać tego szczęścia i kiedy dzieci mojej Stachy piastować— mówiła nieraz, uśmiechając się na myśl, że jeszcze mogłaby tulić i pielęgnować małą istotkę, podobną do tej, którą tak bardzo kochała.

Zadumana głęboko staruszka, podniosła

nagle głowę i zaczęła iść spiesznym, żwawym krokiem. Przez długą nieobecność w Warszawie zatarły się w jej pamięci ulice tego miasta i utrudniały znalezienie domu, należącego do rodziców Stasi. Trafiła nareszcie i z bijącem radośnie sercem, wstępować zaczęła na kuchenne schody. Drzwi od kuchni były otwarte, a kucharka i lokaj, zajęci jakąś robotą, nie zwrócili uwagi na wchodzącą nieśmiało kobietę; po chwili dopiero lokaj zapytał czego żąda.

— Chciałabym się widzieć z panienką — wyszeptała — może pan zechce ją poprosić.

— Źle wybraliście się, moja kobieto — odparł niechętnie — panienka ma gości i napewno nie zechce przyjść do was do kuchni.

Stara błagalnie podniosła oczy.

— Zróbcie to, mój dobry panie, — szepnęła proszącym głosem, — powiedzcie, że przyszła dawna niania, Michałowa, że chciałaby panienkę przywitać i zobaczyć, może już raz ostatni.

Lokaj, pogardliwie wzruszywszy ramionami, wyszedł i wrócił po chwili.

— Panienka kazała powiedzieć, że teraz niema czasu — oznajmił krótko.

— A czy nie mówiła, kiedy można się z nią widzieć? — spytała z wysiłkiem staruszka,— może trochę później... może jutro...

Ostatnie słowa wymówiła ciszej, patrząc z żalem na zaczynające już więdnąć kwiaty.

— Jutro nie macie się po co trudzić, bo państwo z samego rana wyjeżdżają na wieś.

Siwa głowa kobiety opadła na piersi, a po jej pomarszczonej twarzy stoczyły się dwie grube łzy.

Czyż podobna, aby taki rozkaz wydała jej ukochana Stasia, czy podobna, aby to dziecko, które wypielęgnowała własnemi rękami, odprawiło ją obojętnie, po tylu latach niewidzenia.?

Nie traciła jeszcze nadziei, że lada chwila ozwą się lekkie kroki i do kuchni wbiegnie Stachna, taka serdeczna jak dawniej, że powita ją radośnie i przytuli do jej zoranej bruzdami twarzy swoje wiośniane usteczka. Ale czas upływał, a nikt się nie zjawiał, tylko z głębi mieszkania dochodził gwar głośnej rozmowy i wybuchy śmiechu.

Staruszka zaczynała już żałować, że skłoniła lokaja, aby dał znać Stasi o jej przybyciu, odeszłaby bowiem ze smutkiem i żalem ale bez ciężkiego uczucia zawodu i goryczy, które napełniały jej serce, na myśl, że tam w salonie, Stachna bawi się wesoło, wiedząc, że stara, wierna piastunka czeka jej z utęsknieniem. Wreszcie, straciwszy już resztę nadziei, zwróciła się do lokaja z nieśmiałą prośbą:

— Możeby pan oddał panience odemnie te kwiaty.

Lokaj roześmiał się drwiąco:

— Zabawniście moi drodzy, panienka ma cały pokój kwiatów, co jej po tym śmieciu, sprzedajcie lepiej, a będzie większy pożytek.

W oczach starej coraz gwałtowniej wzbierały łzy, bujne, gorące łzy żalu, który serce przygniata ciężarem. Rozumiała, że jej nie spotkała napozór wielka krzywda, panienka zajęta gośćmi nie może poświęcić chwili czasu swej dawnej piastunce, to rzecz, niby naturalna, a jednak tak gorzka.

Kucharka, której kobiece serce wzruszył widok łez staruszki, uprzejmie wskazała jej krzesło.

— Odpocznijcie trochę—odezwała się— dzień taki gorący, musicie być zmęczeni.

Ale stara przecząco wstrząsnęła głową, patrząc przed siebie zadumanym wzrokiem. Wiązanka konwalji i narcyzów, wypadła z jej bezwładnie opuszczonych rąk

i stoczyła się na ziemię, schyliła się więc po nią i przyciskając do piersi, opuściła te progi, gdzie zamiast radości spotkało ją cierpienie.

Wydostawszy się na ulicę, szła bez celu, tuląc wciąż kwiaty, które tak więdły w jej dłoniach, jak w jej wiernem sercu zwiędła wiara w przywiązanie ukochanej istoty.

Zofja Jeżewska.



Purpurowe płomienie.

OPOWIADANIE PRAWDZIWE

przez J. P.

Ciąg dalszy

Cowboy w milczeniu wyciągnął rewolwer z kieszeni i lufę skierował ku Robertowi.

— My tu nie potrzebujemy szpiegów — rzekł szorstko.—Radzę panu, abyś opuścił jaknajprędzej fermę i Texas! — przy tych słowach potrząsnął groźnie rewolwerem.

Robert nie stracił zimnej krwi; szybkim ruchem chwycił swój rewolwer i nacierając na cowboy'a, zmusił go do cofnięcia się, aż do framugi otwartego okna.

— Wynoś się stąd natychmiast, podły człowieku — zawołał, nie zniosę jednego słowa więcej.

Jednym susem cowboy przesadził framugę okna i zniknął w gęstwinie ogrodu. Odwróciwszy się, ujrzał Robert w otwartych drzwiach dwóch towarzyszów wypędzonego, którzy przyglądali się całej tej scenie.

Młodzieniec udał się natychmiast do zarządzającego fermą i opowiedział mu, co zaszło, następnie pokazał mu otrzymaną od pana West plenipotencję. Zauważył przytem, jak urzędnik niechętnie, a nawet wrogo na niego spoglądał.

— Przyszła depesza dla pana — rzekł krótko.

Robert rozerwał papier i przeczytał:

— Jacht stoi o 8 dni drogi w zatoce Meksykańskiej. Wyjechać natychmiast Nowy Orlean hotel St. Louis.

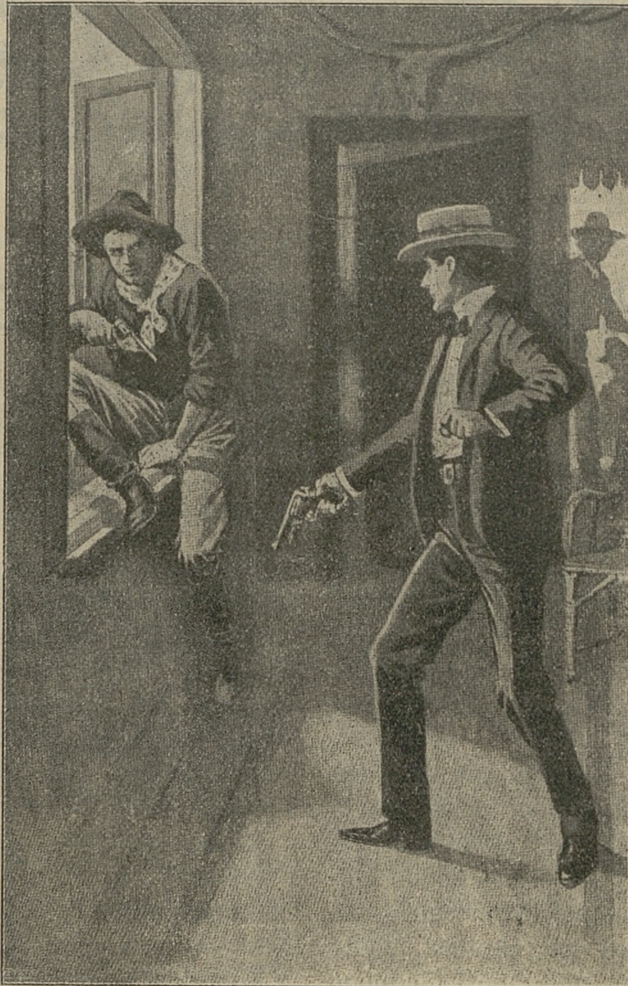
Robert z żalem opuszczał ciekawy kraj Texasu. Miał on nadzieję, że pan West zechce obejrzeć swoją fermę i da mu przez to możność zwiedzenia dalszych okolic. Jednak wobec otrzymanej depeszy, musiał wracać do San Antonio, stamtąd zaś drogą żelazną Southern-Pacific udać się do Nowego Orleanu.

ROZDZIAŁ III.

W zatoce Meksykańskiej.

Przybywszy do hotelu St. Louis w Nowym Orleanie, Robert nie zastał tam jeszcze Jacka West. Przypomniał sobie, że obiecał staremu Tomowi Blue odszukać w tem mieście jednego z jego prawnuków, przytem ciekawy był bardzo poznać murzyńską rodzinę.

Po krótkich poszukiwaniach, odnalazł wszystkich członków rodziny, zgromadzonych w jednym pokoju, którego ściany tapetowane wzorzystym papierem, przybrane były różnokolorowemi obrazkami. Prawnuk Toma Blue był silnym inteligentnym murzynem; rodzina jego liczyła aż dziewięć głów.



.... Cowboy w milczeniu wyciągnął rewolwer z kieszeni i lufę skierował ku Robertowi...

Przez pierwsze dwa dni Robert zwiedzał miasto. Obejrzał bronzową statuę generała Jacksona na koniu, pomnik Benjamina Franklina na skwerze Lafayette, jak rów-

nież postument Lee'a na ulicy St. Charles. Najbardziej jednak zajmowały go potężne, płaskie parowce, kursujące po rzece Missisipi, wyglądały one jak płynące pałace. Obiecywał sobie odbyć przejażdżkę na jednym z nich.

Nowy Orlean jest punktem zbornym handlowym parowców europejskich i amerykańskich. Olbrzymie paki bawełny leżały w śpichrzach i szopach w porcie, skąd rozwożono je we wszystkie strony świata.

Roberta pchała ciekawość odszukania jachtu Jacka West; miał on przecież stać na kotwicy w zatoce Meksykańskiej. Podczas gdy przechadzał się po bulwarach portowych i z lunetą w ręku śledził poruszenia małego kalibru torpedowca, spotkał podoficera z pieszej milicji, który z zewnętrznego wyglądu nadzwyczaj przypominał polaka.

— Zdaje mi się, że spotkałem w panu rodaka — zaczepił go Robert po polsku.

Podoficer ucieszył się niezmiernie, usłyszawszy polski język.

— Odgadliście! — zawołał radośnie — jeśli się nie mylę, to pomimo eleganckiego cywilnego ubrania, mam przed sobą marynarza. Poznałem to odrazu po waszych ruchach i po chodzie.

— Co was skłoniło do wstąpienia do milicji Luizjany? — spytał Robert.

— Przybyłem do południowej Ameryki bez znajomości i bez pieniędzy, i zaciągnąłem się jako stary żołnierz do milicji pieszej, aby się jeszcze wyćwiczyć i wykształcić. Stoję obozem z moimi ludźmi w forcie Jacksona; jeżeli macie ochotę go obejrzeć, to jedźcie ze mną pierwszym odpływającem czółnem.

Robertowi propozycja ta wydała się bardzo nęcącą. Przytem mógł w forcie dowiedzieć się czegoś więcej o jachcie pana West, to też zgodził się towarzyszyć swemu rodakowi.

Gdy Robert Molski wsiadł ze swym nowym towarzyszem na pokład wielkiego trzypiętrowego statku, rozległ się sygnał odjazdu oraz okrzyk „all aboard".

Młody marynarz w ciągu odbytych podróży spotykał duże okręty, ale takiego olbrzyma kursującego po rzece nie widział nigdy.

Trzy piętra tego potwora wznosiły się nad wodą. Na najniższem piętrze znajdowały się na żelaznych podporach maszyny i kotły parowe; były one bez żadnego przykrycia tak, że można było obserwować ich ruchy. Miejsca wolne poza maszynami służyły na skład towarów i pak bawełny, które w większej części były wyładowywane w Nowym Orleanie, reszta zaś ich na wielkim zamorskim parowcu szła do Zatoki Afrykańskiej.

Na drugiem piętrze mieścił się salon tego olbrzymiego pałacu. Zajmował on całą długość statku od końca do końca. Umeblowany był i urządzony z całym przepychem: podłogę pokrywały miękkie dywany; wygodne, głębokie fotele zachęcały do spoczynku, bibljoteka zaś zaopatrzona była w liczne dzieła angielskie i niemieckie.

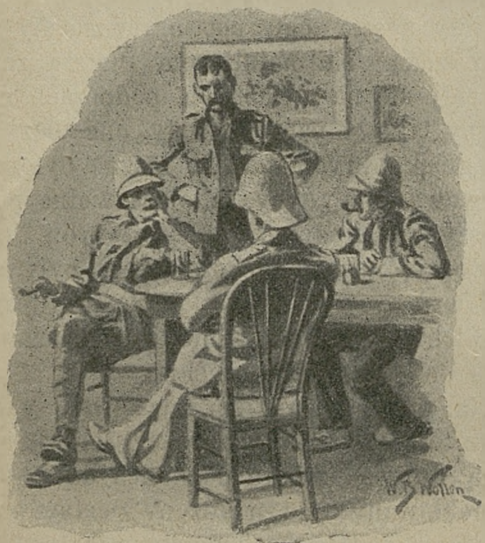
Robert nie omylił się, wyrażając przypuszczenie, że trzecie najwyższe piętro, na którem znajdowała się budka sternika i olbrzymie koło sterowe, jest wyniesione o pięćdziesiąt stóp nad powierzchnię wody. Cudowne musiało to być zjawisko nocą, gdy ten olbrzymi wodny pałac, bogato oświetlony, pruł fale zatoki.

Roberta zaciekawił bardzo widok olbrzymich tam, chroniących miasto od powodzi, a ciągnących się na przestrzeni kilku mil. Tam to znajdowało się uprzywilejowane miejsce przechadzki mieszkańców Nowego Orleanu.

Po przybyciu do fortu Jacksona, Robert łatwo otrzymał przez swego rodaka pozwolenie wstępu. Obaj towarzysze udali się do kasyna, z którego roztaczał się przecudow-

ny widok na ujście Missisipi i na zatokę Meksykańską.

W forcie Jacksona przyłączyli się do Roberta i jego towarzysza dwaj niemcy, aby wspólnie spędzić chwil kilka na pogawędce.



Zasiadłszy przy stoliku, zapalili oni krótkie fajki, a po wypiciu pewnej ilości napojów amerykańskich, podoficer milicji, Karol Werner, rozkazał przynieść antałek bawarskiego piwa, które im bardzo smakowało. Werner rozpytywał Roberta o jego dalsze plany na przyszłość, a gdy ten mu opowiedział swoje spotkanie z Jackiem West, rzekł:

— Trafił pan na dzielnego człowieka. Nazwisko Jacka West znane jest na południu Stanów Zjednoczonych. Jestto szczególny osobnik, niektórzy zwą go nawet filantropem. Nawiedza on często Nowy Orlean, gdyż zbywa tutaj swe wielkie transporty bawełny. Wtedy reguralnie „Times-Demokrat" pisze o nim. Stąd mam wiele wiadomości o jego życiu.

— Do tej pory miałem mało sposobności poznać pana West, — odparł Robert Molski. — Zrobił na mnię wszakże wrażenie człowieka nieprzeciętnego. Powiedziałbym o nim, że jest skryty i trudno odgadnąć jego myśli.

— Ma pan rację, — odpowiedział Karol Werner, – tutaj na południu istnieje jeszcze bardzo wiele tajnych związków. Datują się one z czasów wojny północnych stanów z południowemi. Texas służył za główny punkt zborny wszystkich tych ludzi, którzy sobie przysięgli dojść do celu. Mówią też o Jacku West, że wpływ, jaki na wszystkich wywiera pochodzi nietylko z jego bogactw. Mógłbym godziny całe mówić o nim, tak jest tutaj znanym.

Karol Werner chciał dopomódz Robertowi w odnalezieniu jachtu pana West, ale nawet przewoźnicy małych rzecznych czółen nie mogli im udzielić żadnych wiadomości: nikt jachtu nie widział.

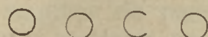
— Musi pan jeszcze uzbroić się w cierpliwość, panie Molski — rzekł do niego podoficer. — Niech pan zostanie na noc u mnie w Forcie, a jutro rano zrobimy wycieczkę do zatoki i będzie mógł pan naocznie przekonać się, czy jacht pana West stoi tam na kotwicy, czy nie.

Zatoka Meksykańska, znajdująca się pomiędzy Stanami Zjednoczonemi, Meksykiem i półwyspami Florydą i Jukatanem, nie wywiera dodatniego wrażenia. Brzegi jej są tak płytkie i piaszczyste, że znajduje się tam zaledwie kilka możliwych przystani.

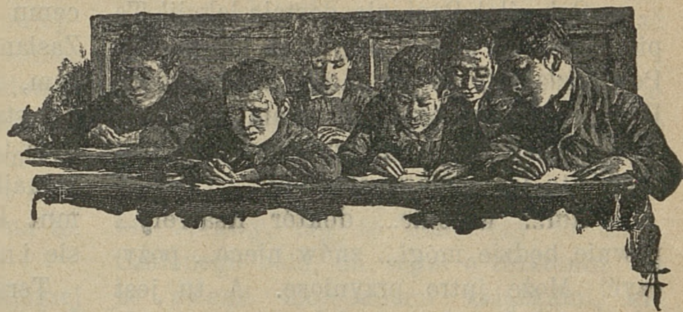
Karol Werner, mieszkający od dłuższego czasu w forcie Jacksona, obeznany był doskonale z miejscowością i za jego też radą obaj rodacy zajęli miejsca na szybkim, małym parowcu, który ich zawiózł do zatoki. Jachtu jednakże nie dostrzegli nigdzie i mieli już wracać do domu, gdy przewodnik ich nagle zawołał.

(D. c. n.)

Marja Buyno.



KOLEDZY.



○ ○ ○ ○

Ciąg dalszy.

Inny chłopiec na jego miejscu, rozpaczałby z tego powodu lub rozgoryczył się i złościł; Zygmunt miał w sobie zadatki na człowieka wielkiego charakteru, przechodzącego spokojnie koło drobnych przykrości, dążącego niezłomnie wytkniętemi ścieżkami. Poważny, skupiony, zawsze jednakowo uprzejmy, bez uśmiechu, lecz bez przygnębienia na rozumnej swej twarzy, niczem nie dawał poznać, że spostrzegł cośkolwiek, co się poza jego plecami działo; tylko baczny obserwator zdołałby dostrzec wielki smutek, jakim chwilami zachodziły jego rozumne oczy i coś w twarzy jego, co mu dawało pozory dorosłego, cierpiącego człowieka!

Niechęć, jaka się zrodziła niewiadomo skąd w chłopcach, przeciwko Zygmuntowi, którego wszyscy uważali za sprawcę nieporozumień ze Strzemboszem, z czasem zmieniła się w obojętność. Najważniejszą osobą w klasie był nieobecny Michaś, a po nim jego przyjaciel Witold.

Powracającego szybko do zdrowia odwiedzać zaczęli powoli koledzy, których Witold brał łaskawie ze sobą. Ubiegali się o to, jak o największą łaskę, a po odwiedzinach takich, nie mogli się dość naopowiadać o Michasiu, którego wszyscy w tym czasie niemal kochali, a jeszcze więcej nie mogli się oprzeć czarowi, jaki roztaczała matka odtrąconego niegdyś kolegi, która okazywała im tyle serdeczności i wdzięczności, za życzliwość dla jej syna!

Zymuntowi nikt nigdy nic nie mówili o Michasiu, zmieniali nawet temat rozmowy, gdy się zbliżał. Pomimo to Zygmunt był poinformowany lepiej, niż ktokolwiek o wszystkiem, co się działo w domu Michasia, i to właśnie napełniało go wielką troską. Skończyłaby się ona zapewne, gdyby ojciec przyjechał, ale wobec ponownego opóźnienia, należało radzić samemu.

Pozwoliwszy sobie tylko na chwilkę żalu, Zygmunt wziął czapkę, palto i wyszedł z domu.

— A niech panicz późno nie wraca! — zawołała za nim służąca, zaniepokojona nie na żarty, częstą nieobecnością chłopca w domu.

— Przyjdę na kolację! — odparł, zbiegając szybko ze schodów i popędził zwykłą drogą na ul. Mokotowską.

Wszedł, jak zwykle, tylnemi schodami i zapukał do drzwi lekko, trzykrotnie po trzy razy. Po chwili drzwi się uchyliły i na schody wyszła Franciszka, otulona w ciepłą chustkę.

— No i cóż nowego?—zapytał Zygmunt, przywitawszy uprzejmie starą służącę.

— A no, po dawnemu; Michaś, chwalić Pana Boga, coraz lepiej. Za kilka dni wybiera się już do szkoły. Już i rumieńce na buzię mu wracają!

— To dobrze, to bardzo dobrze! A z temi... kłopotami... jak tam?

— Och, źle! Pani nie dostała lekcji! Te pieniądze, co panicz przyniósł, już poszły. Powiedziałam, że to moje oszczędności. Pani uwierzyła, bo i jak miała nie wierzyć? Skąd mogła przypuszczać, że jest ktoś, kto jej pomaga skrycie?!

— Hm... właśnie... doktór Ksawery... pewnie będzie mógł... znów nieco... pożyczyć! Może jutro przyniosę. A tu jest adres; lekcja niezbyt dobrze płatna, ale blizko i dwie godziny w jednym miejscu.

— I znów powiedzieć, że to doktór przysyła?

— Naturalnie! Przecież ja... w jego imieniu... przez niego...

— Ale dlaczego o paniczu nie wspominać? Dla czego nie powiedzieć o tym złotym sercu?

— Moja droga Franciszko! Pamiętajcie o naszej umowie! Milczenie! Tajemnica! Inaczej nie mógłbym pomagać... doktorowi. Proszę mi wierzyć,—mam poważne do tego powody!

— Dobrze, dobrze! Wierzę, że od panicza tylko dobre rzeczy iść mogą. A jeżeli chodzi o milczenie, to stara Franciszkowa niczem kamień.

— Muszę już uciekać! Bądźcie zdrowi!

— Paniczu! Na jutro nie mam już ani grosza!

— Powiem to... doktorowi... Może jakoś zaradzi! Do widzenia!

Z pozornym spokojem i swobodą zbiegł ze schodów, lecz głęboki niepokój targał jego duszę!

Przysiągł, że życie swoje odda za życie Michasia, przysiągł ratować go i dopomagać zawsze, widzialny i niewidzialny — przysiągł to owej pamiętnej nocy! Sen to był może, halucynacje zmęczonego umysłu, wszystko jedno, przysięga obowiązywała go!

Dotąd przez Franciszkę zapobiegał kłopotom pieniężnym i idącym z niemi brakom, jakie niechybnie groziły powracającemu do zdrowia chłopcu i jego matce. Zasłaniał swoje czyny doktorem Ksawerym, obwarowawszy się milczeniem wiernej staruszki. Trudno mu to przychodziło: było to bądź co bądź kłamstwo, chociaż w najlepszej intencji popełniane, a Zygmut kłamać nie umiał. Jednak zdobył się i na to!

Teraz czekały go większe kłopoty: dotąd korzystał ze swoich oszczędności, lecz te wyczerpały się zupełnie. Wziął parę razy z pieniędzy, przeznaczonych na gospodarstwo, lecz to zwróciło uwagę służącej, która kategorycznie oznajmiła, że nie wystarczy jej na obiady, jeżeli panicz będzie brał na swoje wydatki z pieniędzy, przeznaczonych na gospodarstwo. A jednak teraz znów trzeba pieniędzy, i to sporo: Michaś zacznie chodzić do szkoły, potrzebne mu będzie prawdopodobnie ciepłe ubranie, bo zima za pasem. Gdyby nawet pani Strzemboszowa dostała lekcje, to zapłacą jej dopiero za miesiąc, przez ten zaś czas trzeba dostarczyć funduszów na utrzymanie i różne wydatki. Franciszki w tym głowa, żeby wytłomaczyć pochodzenie pieniędzy, przynoszonych przez Zygmunta.

— Skąd wziąć? Skąd wziąć? — biedził się chłopiec, wracając powoli do domu.

Gdy siedział zamyślony w swoim pokoju, wzrok jego padł na śliczną orzechową bibljoteczkę, w której rzędami stały jego ulubione książki w pięknych oprawach, nadzwyczaj starannie utrzymane.

Drgnął. To jest jego niezaprzeczona własność! Książkę po książce zbierał, kompletował. Każda miała jakąś historję: tę dostał od ojca na imieniny, tamte od dr. Ksawerego z każdą rocznicą swego wyzdrowienia. Te znów kosztowały go wiele ofiar: dla tej poświęcił wycieczkę, dla innej teatr, dla tych znów wyrzekł się kuca przez lato... Tak, to jego niezaprzeczona własność! Zerwał się z krzesła, wsunął

do kieszeni starannie prowadzony katalog, i wybiegł z domu.

— Coś niedobrego dzieje się z chłopcem! — mruknęła Agnieszka, która, służąc od lat kilku u ojca Zygmunta, zadomowiła się zupełnie i uważana była niemal za członka rodziny. — Że też to pan tak długo nie wraca! Gdyby choć doktór Ksawery przyszedł, poradziłby może na to. Chybaby napisać do pana?

A Zygmunt, wszedłszy do znajomej antykwarni, przedstawiał swój interes.

— Chciałbym sprzedać bibljoteczkę.

Właściciel spojrzał na niego z-pod oka: chłopiec był spokojny, pewny siebie, ubrany dostatnio.

— Czy to pana własność osobista?

— Tak jest. Oto katalog.

— Czy książki są w dobrym stanie?

— Zupełnie.

— Chciałbym je obejrzeć.

— Proszę bardzo. Mieszkam niedaleko.

— To ja przyjdę jutro zobaczyć!

— O, prosiłbym, aby pan przyszedł dzisiaj jeszcze. To bardzo pilne.

Antykwarjusz spojrzał znów podejrzliwie na Zygmunta, lecz ten wytrzymał spokojnie jego wzrok.

— Niech i tak będzie! — rzekł po chwili namysłu. — Idę z panem.

Książki były prawie nowe, zupełnie czyste, a piękne, gustowne oprawy podnosiły ich wartość. Było ich przeszło 150.

— Dobrze! Kupię! Ale ile pan żąda?

— Nie wiem. Kupowałem często, lecz nigdy nie sprzedawałem! — odparł szczerze chłopiec. — Niektóre z nich płaciłem po kilka rubli.

— No tak, gdy były nowe.

— Toć i teraz są nowe.

— Ale już przeczytane! — zaśmiał się antykwarjusz. — Mogę za nie ofiarować 75 rubli.

Zygmunt, zdecydowawszy się w kilka zaledwie minut na sprzedaż bibljoteczki, nie zastanowił się nad tem, jaką sumę może z tej sprzedaży otrzymać. Nie zdawał sobie sprawy, czy to mało, czy to dużo. Szalonego bólu, na myśl o rozstaniu się ze swemi ukochanemi książkami, nie zmniejszyłaby zapewne największa suma, zaś 75 rubli wydawały mu się zbawieniem: wyratują z nędzy Michasia.

— Dobrze! — rzekł krótko.

Antykwarjusz raz jeszcze spojrzał z uwagą: chłopiec był bardzo blady, lecz zupełnie spokojny. Jego jasny wzrok dowodził, że robił rzecz przykrą, lecz nie występną.

— Przepraszam. Jeszcze jedno czy mógłby mi pan powiedzieć, na co pan potrzebuje tych pieniędzy?

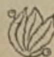
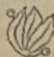
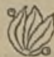
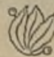
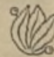
Zygmunt milczał.

— Właściwie niepotrzebnie się o to pytam. Mam zupełną pewność, że pan sprzedaje swą własność, że niema w tem nic nieuczciwego... Wiem jednak, że ojciec pana jest człowiekiem zamożnym...

— Ojca mego niema od dłuższego czasu w Warszawie! — wtrącił żywo Zygmunt, podrażniony myślą, iż ktoś mógł podejrzewać, że surowość ojca zmusza go do zdobycia pieniędzy po za jego plecami.

— Ach i z tego powodu pan jest w kłopotach pieniężnych... Ale możeby temu zaradzić jakoś inaczej... Mógłbym pożyczyć kilka, kilkanaście rubli!

D. c. n.

Z ŻYCIA OBOZOWEGO SKAUTÓW.



Skaut na wycieczce.



Przenoszenie rannego.



Opatrunek.

KRONICZKA.

△ Zwycięzcy czarnogórcy już opuścili zdobyty przez siebie Skodar, który tymczasowo zajęła komisja międzynarodowa. W mieście panuje zaraza. Przedstawiciele mocarstw usilnie pracują nad poprawieniem ogólnych warunków.

△ Na Węgrzech spłonęło w znacznej części miasto Preszburg. Runęło w gruzy kilkadziesiąt domów. Około czterystu osób odniosło rany. Nędza wśród pogorzelców straszliwa.

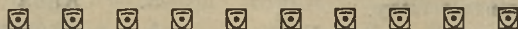
△ W Petersburgu lotnik Sihorski dokonał pomyślnych prób ze zbudowanym przez siebie największym na świecie aeroplanem, zaopatrzonym we cztery motory o sile 100 koni parowych. Aeroplan - olbrzym dźwignąć może 12 pasażerów.

△ Między Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej a Japonją, wynikł zatarg z powodu ograniczenia przez rząd amerykański napływu Japończyków. Zatarg przybrał ostre formy.

△ We Lwowie zmarł ś. p. Władysław Łoziński, autor wielu prac historycznych, nader cenionych. Zmarły urodził się w roku 1843 w Oparach, w Galicji. Po skończeniu studjów w uniwersytecie lwowskim, oddał się pracy na polu historycznem. Z całego szeregu dzieł jego do najcenniejszych zaliczane są: „Prawem i lewem", oraz „Życie polskie w dawnych wiekach".

△ W dn. 23 maja obchodzili w Paryżu złote gody pp. Władysław Mickiewicz, syn niezapomnianego wieszcza, Adama, i małżonka jego Marja z Malewskich.

△ W Edynburgu, w Szkocji, sufrażystki podłożyły bombę w miejscowem obserwatorjum astronomicznem. Wybuch jej wyrządził wielkie szkody.



„O własnych siłach".

Łamigłówka liczbowa

ułożona przez Sroczkę Z. Cz.

Liczby zastąpić literami w ten sposób, żeby otrzymać 10 wyrazów, których środkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko autorki polskiej.

		23	6	8		
		1	4	9		
23	9	17	20	11	9	16
9	16	19	15	18	18	14
		6	17	9		
		14	20	9		
		6	21	6		
		23	6	11		
		7	21	9		
		17	9	16		

Znaczenie wyrazów:

1. Zwierzę domowe.
2. Inaczej zabawa.
3. Drzewo, lub maść konia.
4. Utwór Słowackiego.
5. Owad.
6. Zdrobniałe imię żeńskie.
7. Organ wzroku.
8. Zwierzę domowe.
9. Liczebnik.
10. Dopływ Wisły.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Tunię M.

Z następujących sylab ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry

na dół, utworzą imię i nazwisko hetmana polskiego.

Sylaby: oks, bor, mi, ich, o, dam, sod, inn, kon, lo, ru, u, ter, lau, e, y, ne, ford, pja, łość, ra, zbi, dyp, jon, tjo, gniew, gja, dor, tek, o, fa, rot.

Znaczenie wyrazów:

1. Bohater z opery Moniuszki.
2. Król Tebański.
3. Miasto w Holandji.
4. Imię męskie.
5. Samogłoska.
6. Imię żeńskie.
7. Miasto w Rosji.
8. Jedna z wysp Zundzkich.
9. Miasto w Anglji.
10. Jedna z cnót teologicznych.
11. Nauka o rybach.
12. Moneta indyjska.
13. Pierwiastek chemiczny.
14. Ptak drapieżny.
15. Dopływ Dunaju.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 16-go nadesłał Trzecioklasista.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 17-go nadesłali: Trzecioklasista i Sarenka z Litwy.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 18-go nadesłał Trzecioklasista.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 19-go nadesłali: Sarenka z Litwy, Wróbelek i Nenufar, Kasiunia W. z Sitańca

Rozwiązanie łamigłówki liczbowej z Nr. 17.

B
L ***a*** k
Ł o ***s*** o ś
S e w ***i*** l l a
A s t r ***a*** c h a ń
R a ***J*** e z
T r ***e*** m o
A ***z*** a
i
K ***o*** s
K o ***r*** e k
J a r ***k*** e n d
L a s k ***o*** n o g i
S i e ***w*** n i k
Ł u ***s*** k a
S ***k*** i
a

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 17.

1. Anioł
2. Delfin
3. Anna
4. Mrówka
5. Masło
6. Ibis
7. Cukier
8. Kanapa
9. Igła
10. Europa
11. Wino
12. Ignacy
13. Cebula
14. Zima

Adam Mickiewicz.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Buyno-Arctowa**. DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3